



# FIEDIA Z PODFLOTY



Kiedy po pokazaniu wartownikom przepustki wszedłem na dziedziniec „podfloty” jak w skróceniu nazywają marynarze flotę podwodną, ładowano akurat torpedy do wielkiej łodzi.

Koło torpedy kręcił się może ośmioletni chłopak, chudziutki, z ostrym noskiem, na głowie miał zbyt wielką, granatową furazerkę, ozdobioną z przodu błyszczącą kotwicą, a na rękawach poplamionej kurteczki widniały jedna nad drugą naszywki miniera, łącznika, artylerzysty, komandora, elektrotechnika i sygnalisty.

Małec okiem znawcy oglądał każdą wywiezioną torpedę, obchodził ją ze wszystkich stron, potem przykucnął przed nią i pociągając zadartym nosem z przejęcia, starannie kreslił coś palcem na warstwie tłuszczu, którym wysmarowana była torpeda. Podszedłem bliżej. Poprzez różowo-brunatną warstwę smaru mętnie połyskiwał metalem wyryty palcem napis: „Od Fiedy”.

— Fiedia, — spytałem, — cóż ty tu, bracie, robisz?

— Podpisuję się, — odpowiedział Fiedia, spoglądając na mnie z ukosa i poprawiając palcem wykonany właśnie napis.

— Po co?

— Żeby wiedzieli od kogo — powiedział małec. — Oni już znają moje pismo. Ja się zawsze podpisuję.

— A cóż ty za jeden?

— Ja? — ze zdziwieniem jakby spytał chłopczyk i, zadarłszy nos jeszcze wyżej, spojrzął na mnie z dołu surowo. — Ja tu jestem jedyny chłopiec u nich...

— U kogo — u nich? Czy jedy-

ny? — No, ich wszystkich... Z floty. Ja jestem z podfloty.

— Czy to syn którego z was? — zwróciłem się do marynarza.

— Ale skąd, to cała historia — odpowiedział półgłosem marynarz. To Fiedia Tolbein. Jego ojciec za bosmana był przy holowaniu. Gdy w zeszłym roku ewakuowali ich rodziny, morzem je posyłał i Niemcy na morzu ich naszli, zleciało się tych diabłów z pięć sztuk i jak zaczęła walić. Kobiet tam, dzieci — straszne rzeczy. Zanim pomoc dopłynęła z brzegu, mało kto się na powierzchni utrzymał. Ojciec tego Fiedy i matka, i siostrę miał także, wszyscy zginęli. A jemu się udało. Ocalał on jeden. No, więc odstawił go na bazę. No i tak już pozostał u nas w podflocie.

Po całych dniach sterczał Fiedia w podflocie. Grał w klasy, kresłał je kredą na grubych deskach pirsu, i gdy ktoś nieostrożnie stąpił w klasę, Fiedia krzyczał ze złością:

— No, jak chodzisz.. Nie widzisz tu wyraźnie narysowane: miny.

Marynarze, minierzy, elektrotechnicy, sygnaliści kupowali dla niego w sklepie marynarzkim przepiślowe naszywki na rękawy i wkrótce Fiedia stał się podobny do kufra podróżnika, oklejonego ze wszystkich stron hotelowymi nalepkami.

Pewnego dnia Falkowski spotkał Fiedię. Ujrzawszy przyjaciela, Fiedia szybkim ruchem zapiął kurtkę.

Wydawało się to Falkowskiemu podejrzane.

— Pokażno, pokażno, co tam chowasz?

Fiedia począł gwałtownie kaszleć.

— Zaziębilem się wczoraj.

— Zaziębiles się? Rozepnijno kurtkę, dawaj to twoje zaziębienie, osłucham cię.

— Kiedy tak nie nie słyhać, tylko w gardle mnie tak drapie, że muszę kasłać, nawet mnie boli jak kaszleć.

— No, jeżeli nie słyhać, to może widać przynajmniej. Co? — nalegał nieubłagany Falkowski. I odsunawszy na bok ręce Fiedy, rozpiął mu kurtkę.



— Któż to ci taką koszulkę wyspekulował? Czekajno, przecież ty to masz po prostu na skórze? Och, Fiedia...

— Nie lechciec mnie, ręce macie zimne, i tak jestem zaziębiony — burknął Fiedia zawstydzony, zapiął kurtkę, pod którą cała skóra na piersi wysmarowana była oliwką, chemicznym na niebieski kolor, żeby się ludziom zdawało, że Fiedia nosi marynarską koszulkę. Falkowski zaprowadził Fiedię do siebie i z trudem umył go w gorącej wodzie. Od tego czasu znakomity marynarz i Fiedia zaprzyjaźnili się jeszcze bardziej.

Falkowski odplynał wkrótce na niebezpieczną wyprawę na swej łodzi podwodnej. Fiedia podpisał się na dwu jego torpedach. Falkowski odplynał. Po kilku dniach przyszły o nim na bazę złe wieści.

Jeden z marynarzy mówił, że Niemcy Falkowskiego nakryli.

Fiedia długo nie mógł zasnąć, wciąż myślał o Falkowskim...

Obudził Fiedię potężny huk z oknem. Po nim nastąpił drugi. I zerwawszy się z łóżka, zobaczył jeszcze lekkie obłoczki dymu, unoszące się z armaty na łodzi podwodnej, która w tej chwili właśnie z podniesionymi znakami sygnałowymi szybko wchodziła do przystani. I Fiedia poznał od razu łódź Falkowskiego — nikt prócz niego w takim pędzie nie wpywał w wąską gardziel zatoki. Dwie salwy zaś, jakie dał Falkowski, wchodząc do przystani, oznaczały, że powrót jest zwycięski: dwa okręty faszystowskie poszły na dno.

Fiedia skoczył na wybrzeże. Ale nie podbiegł do swego przyjaciela. Znał morskie obyczaje. Stał cierpliwie na uboczu, wytrzeszczając oczy z radości i nie spuszczał ich z kapitana, który z ręką przy czapce meldował kontradmirałowi, dowódcy ugrupowania łodzi pod-

wodnych, że operacja została przeprowadzona.

— Ile w ogóle puściliście torped? — spytał kontradmirał.

— Ogółem trzy, towarzyszu kontradmirał. Z tego dwie trafiły.

— Czy moje? — spytał spod czyjeś łokcia Fiedia, który przysunął się bliżej.

— Właśnie, twoje, — roześmiał się Falkowski. — Obie „od Fiedy”.

W dwa dni później dokonały nalotu na bazę dwa bombowce niemieckie. Na masztach okrętowych ukazywały się flagi. Był to sygnał alarmu. W porcie zawyła krótko syrena. Wszyscy pobiegli na swoje miejsca. Zagrały działa przeciwlotnicze z tor-

pedowców i statków wartownicznych. Strzelano z torpedowca. Echo wystrzałów rozległo się po całej zatoce, odzywając się wśród skał. Potem torpedowiec wystrzelił po raz drugi i bombowiec niemiecki, lecący na przdzie, wlokąc za sobą smugę dymu, skręcił w bok, wyrzucił długi język płomienia, zakolysał się i wirując niezgrabnie, począł opadać za najbliższym pagórkiem. Tuż — tuż obok niego ukazał się nagle i rozwinął biały kwiatek spadochronu; opadł powoli na ziemię i znikł za skałami.

Opuścił się koło Tojwy — zawołał jeden z marynarzy, który wraz z nami obserwował bitwę powietrzną. — Żeby nam tylko fryc nie uszedł, potem się go między pagórkami nie znajdzie. A stąd do linii frontu tylko ręką sięgnąć, zwieje i tyleś go widział.

— Chwileczkę — odezwał się nagle Falkowski, a gdzie się podział nasz Fiedia? Gdzie jest Fiedia, pytam?...

— Przecież on właśnie tam przy Tojwie zbiera jagody, żeby go...

Istotnie Fiedia przepadał teraz na długo wśród pogórków, gdzie w tym roku było wyjątkowo dużo jagód, poziomek, jeżyn i borówek. Wracał z fioletowymi wargami, z sinymi zębami i pokazywał nam język taki, jak gdyby nim dopiero co zlizywał atrament.

Poczęliśmy wdrapywać się na wzgórze, by jak najszybciej dostać się na Tojwę, schwytając niemieckiego spadochroniarza i przyjść z pomocą naszemu Fiedy. Marynarze odczyli odcinek, na który wiatr zniósł Niemca. Szliśmy, skacząc ze skały na skałę, przepatrując rozpadliny, wymijając niewielkie jeziora zagładając pod każdy zrab skałny — ale spadochroniarza nie było nigdzie, a wraz z nim znikł nasz Fiedia.

Lotnik Świsłniow wystartował z lotniska na poszukiwanie spadochro-

niarza. Kołował nad pagórkami i kilka razy nad nimi przeleciał, przepatrując okolicę. Nagle samolot wziął ostry wiraż, zawrócił i począł opisywać koła nad niewielkim wąwozem między dwoma wysokimi urwiskami skalnymi. Lotnik, wychyliwszy się z kabiny, machał nam ręką, wskazując gdzieś w dół. Zbiegając ze złomów kamienia, przeskakując przez strumyki, pobiegliśmy w tym kierunku. Po chwili byliśmy już na brzegu skały. A tam, w dole, na szarym ciemnym mchu ujrzelśmy ułożony z białych kamieni i odcinający się wyraźnie ogromny napis. „Fiedia”. I w tej chwili ujrzelśmy samego Fiedię. Siedział przyczajony pod urwiskiem skalnym i dostrzegłszy nas, począł dawać nam jakieś znaki, przykładał palec do warg, zatykał dłonią usta — domagał się milczenia i wskazywał tajemniczo gdzieś w bok. Zeskoczyliśmy doń na dół.

— Jest tam, tam — szepnął Fiedia fioletowymi od jagód i drżącymi ze zdenerwowania wargami. — Tam, za tym kamieniem. Nogę sobie zwichnął. Widziałem jak go strącili, pobiegłem za nim, a on jak nie wypalił do mnie ze swojego „szmajsera”. Schowałem się tutaj. Potem chciałem nawet wyleźć, dotrzeć do podfloty. Po co tu miałem siedzieć do wieczora. A ten znown jak do mnie trachnie. Kula tak świsnęła, że aż kamień odprysnął...

Widzę, że leci samolot, szuka, a mnie fryc nie pozwala wstać... no więc ułożyłem swój podpis. Czołgałem się, czołgałem, cały brzuch sobie starłem, a na kolanach dziury. Ale nazbierałem kamieni i ułożyłem. Lotnik od razu z góry poznał moje pismo... A fryc ot tam się zagrzebał.

Marynarze skoczyli ku skałom i z rozpadliny wyciągnęli ukrytego Niemca. Widząc, że otaczają go ze wszystkich stron, od razu rzucił swego „szmajsera”.

Skończyło się krótkie polarne lato, nadciągnęły mgły, i pewnego razu wieczorem w podflocie, w kajucie kapitańskiej zawiązała się rozmowa o dalszych losach Fiedy. Trzeba go wysłać do szkoły. Chłopak musi się uczyć — to jasne.

Po naradzie postanowiono wysłać go na tyły do jednego z miast białomorskich, gdzie istniał internat dla dzieci marynarzy.

Zbliżał się dzień odjazdu... Ileż wszelkiego jadła naznosili marynarze na drogę dla Fiedy. Ile puszek skondensowanego mleka, konserw, tabliczek czekolady...

Potem wszyscy żegnali się z Fiedią. Chłopiec był chmurny i wydawał się chudszy w nowej obszernej kurtce, na którą przeniesiono ze starej wszystkie oznaki.

Na kutrze puszczonego się motor, spod rufy ukazały się kregi i piana na wodzie. Na maszcie zawiśły trzy flagi sygnałowe. I kuter — na którym, jak prawdziwy marynarz, nie trzymając się poręczy stał wyciągnięty jak struna Fiedia Tolbein, wychowanek podfloty, jedyny i ostatni chłopiec na całym wybrzeżu — wypłynął na otwarte morze.

L. Kassil  
(W skróceniu)

# Jesień-malarka



Przyszła Jesień, hen, zza morza  
rozejrzała się wokoło:  
— Coś mi się tu nie podoba,  
za zielono, za wesoło.

Słońce świeci zbyt ogniście,  
za jaskrawy błękit nieba,  
za zielone są drzew liście —  
przemalować wszystko trzeba!

I w czyn słowa wprowadzając  
wnet się wzięła do roboty:  
najpierw park przemalowała  
na kolor czerwono-złoty;  
po ścierniskach, po ugorach,  
rozpostarła białe smugi,  
przytłumiła błękit nieba,  
dzień skróciła — bo za długi.

Chciała słońce przemalować,  
ale się to nie udało,  
więc je chociaż przesłoniła  
mgły porannej siatką białą.

Malowała, poprawiała  
ciągle z pracy swej nie rada,  
a tu wokół coraz szarzej,  
coraz smutniej, deszcz wciąż pada...

Wreszcie rzekła: widzę, że tu  
nic mój talent nie pomoże!  
Więc dosiadła ciemnej chmury  
i ruszyła znów za morze.

Janina Hankiszówna



Opracowała **E. SŁOBODNIKOWA**

## EGRYBAJ i TUGRYBAJ

### Bajka uzbecka

[Dokończenie]

— Co mi dasz za to, jeśli cię od niego wybawię? — zapytał Tugrybaj. Pastuch obiecał Tugrybajowi 40 baranów. Tugrybaj kupił psa u tego starca, o którym opowiadał wilk i podarował go pastuchowi. Pastuch zaś dał Tugrybajowi przyobiecane 40 baranów.

Następnie udał się Tugrybaj do tabunu koni. Przywitał się z pastuchem, zapytał się, jak mu się wiedzie. Ten poskarżył się na tygrysa, porywającego mu konie. Tugrybaj na to:

— Tej nocy osiodłaj biało-czarne źrebie i daj mi powróż z końskiego włosia 40 łokci długości, także grubą trzyłokciową żerdź.

Tugrybaj dosiadł źrebaka i jął wypatrywać na ścieżce tygrysa.

Tygrys wyskoczył z lasu i rzucił się na konia. Tugrybaj zarzucił pętlę na szyję tygrysa i tak długo krążył z nim po lesie i bił go żerdzią, że zwierzę upadło bez tchu. Pastuch podarował Tugrybajowi za jego przysługę biało-czarne źrebie.

Wreszcie pojechał Tugrybaj do miasta. A na miejskim rynku wykrzykiwał herold:

„Córka padyszacha choruje już siedem lat. Tego kto ją wyleczy,

weźmie padyszach za zięcia. A tego, kto nie potrafi jej wyleczyć ukarze“.

Tugrybaj udał się za heroldem do pałacu. Padyszach przywiódł do



córki nowego lekarza. Ten wziął liście i odwarem z nich napoił dziewczynę. Po trzech dniach dziewczyna wyzdrowiała. Padyszach urządził wielką ucztę — weselisko, wydał córkę za Tugrybaję.

— Jakiego miasta rządcą mam cię mianować? — zapytał padyszach zięcia?

— Nie chcę być rządcą — odpowiedział Tugrybaj. — Zbuduj nam

na górze koło lasu dom. Będę żył z pracy rąk.

Padyszach zrobił tak, jak prosił go zięć i Tugrybaj z żoną zamieszkali na szczycie góry.

Razu pewnego w południe spotkał Tugrybaj swego przyjaciela Egrybaję, który siedł, wiodąc za sobą skradzionego niegdyś mu konia. Tym niemniej zaprosił go Tugrybaj do swego domu i urządził dla niego wielkie przyjęcie.

— Przyjacielu, jak żeś ty to wszy

— Wskaż mi to miejsce, ja też przespać się chcę w tandyrze.

Tugrybaj wskazał mu polanę, na której nocą schodziły się zwierzęta. A gdy zapadł zmierzch Egrybaj wlaźł do tandyrę.

Znów w nocy przyszli na polanę mieszkańcy lasu.

— Ano opowiedzcie nam ładną bajkę! A gdzież to mój przyjaciel, bażarz — lis? — zapytał król — lew.

Wstał z miejsca swego szakał i rzecze:

— Nie, teraz to już będziemy milczeć. Bo to wtedy przez bajki straciłszy naszego przyjaciela a ja — mego szczura ze złotem.

A niedźwiedź poskarżył się:  
— Liście z naszego karagacza też są oberwane!

— A ja pozostałem bez jada! — powiedział wilk. Pastuch kupił tego psa, o którym mówiłem. Teraz to boję się nawet zbliżyć do stada. Już raz okropnie mnie pogryzł.

Król — lew kazał schwytać i zabić tego, kto zdradził tajemnicę leśnych zwierząt. Nikt nie wiedział, kto to zrobił. Niedźwiedź zapytał szakała, szakał — bażanta. A skarżypyta bażant wykrzyknął:  
„W tandyrze!“  
i odleciał.

Zwierzęta wlaźły do tandyrę, wyciągnęły stamtąd Egrybaję i rozszarpały go na drobne kawałki.

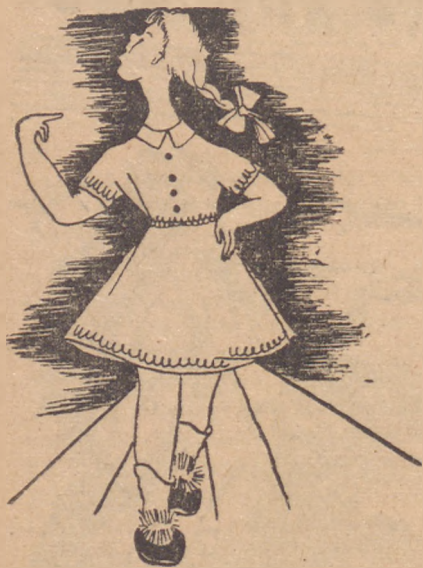
Tak Tugrybaj za swą szlachetność doczekał się spełnienia życzeń, a Egrybaj za nieuczciwość został ukarany.

sko zdobył? — zapytał Egrybaj zdumiony bogactwami Tugrybaję. Masz dom i zagrodę. Była wszelkiego tyle! Skąd to wszystko masz? Ukradłem ci wtedy konia. Dokąd bym nie pojechał wszędzie spotyka mnie niepowodzenie. Nie było dnia, żebym do syta najadł się chleba.

— Przespałem jedną noc w tandyrze w lesie i wszystkim zdobył — odrzekł Tugrybaj.

JAN BRZECHWA

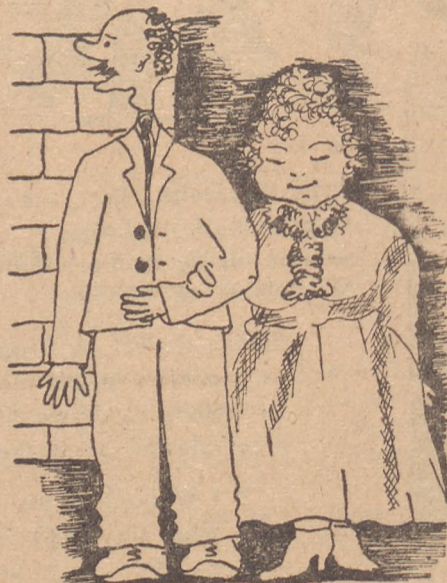
## SAMOCHWAŁA



Jak odpowiem, to roztropnie,  
W szkole mam najlepsze stopnie,  
Spiewam lepiej, niż w operze,  
Swietnie jeżdżę na rowerze,  
Znakomicie muchy łapię,

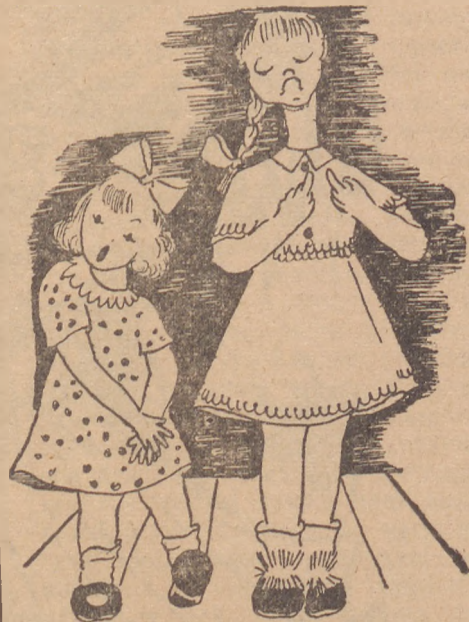


Samochwała w kącie stała  
I wciąż tak opowiadała:  
— „Zdolna jestem niestychanie,  
Najpiękniejsze mam ubranie,  
Moja buzia tryska zdrowiem,  
Jak coś powiem, to już powiem,



Wiem gdzie Wisła jest na mapie,  
Jestem mądra, jestem zgrabna,  
Wiotka, słodka i powabna,  
A w dodatku, daję słowo,  
Mam rodzinę wyjątkową:

Tato mój do pieca sięga,  
Moja mama — taka tęga,  
Moja siostra — taka mała,  
A ja jestem — samochwała!“



## Kącik rozrywkowy

## Zagadki

- Budują z nich drogi,  
są ciężkie i twarde,  
jeśli chcesz je rozbić  
bijesz w nie oskardem.
- Wydobyta z ziemi  
za górników sprawą;  
wyraźnego smaku  
dodaje potrawom.
- Biegną zwykle czwórką,  
biegną jedną drogą,  
choć są blisko siebie  
chwycić się nie mogą.
- Wzięta je do ręki  
porządna Ewa,  
obraca nim szybko,  
wodą polewa.  
Chciejcie mi uwierzyć,  
bo mówię szczerze,  
będzie miała rączki  
czyste jak śnieżek.
- Basi i Jankowi,  
Heli, Bronce, Zosi  
koniec lekcji oznajmia  
jego dźwięczny głosik.
- Pękata postać,  
szyjka wysmukła;  
nieś ją ostrożnie,  
byś jej nie stłukła.

## ROZWIĄZANIA Z NR 37(44).

## Rebusy:

- Słodka gruszka
- Sikorki
- Mama tuli Walę
- Iwo trzyma bat.

## Zagadki:

- Mięta
- Bat
- Byk, bak, buk, bok.
- Buciki
- Zajęcie
- Gęś

## ROZWIĄZANIA Z NR 38(45).

## Zagadki:

- Obrazy
- Lusterko
- Zeszyty
- Żelazko
- Zboże
- Orzeł
- Rosa.

Rozwiązanie zadania o ogrodniku  
i o jego pomocniku Antku:

Długo zastanawiał się Antek, jak  
posadzić 12 jabłoni w czterech rzę-  
dach, żeby w każdym było po czte-  
ry drzewa i 6 czereśni w trzech rzę-  
dach — w każdym po trzy drzewka.

Aż wreszcie wpadł na dobry po-  
mysł i posadził jabłonie w ten spo-  
sób:



a czereśnie tak:



Zagadka o Franku, owcy, kapu-  
ście i wilku.

Franek przewiózł na drugą stronę  
rzeki najprzód owcę, a potem wró-  
cił po wilka i kapustę.

## ROZWIĄZANIA Z NR. 39(46).

Wierszyk do zgadywania pt.:  
„Wspomnienia z wakacji“. Na miej-  
sce kropek należy wstawić wyrazy:  
Bałtykiem, spędzali, Zakopanem,  
pieczę, cioci, ziółka, ułęgalki, lesie,  
ptaszęta, wiewiórki, szkoły, książek,  
próżnować.

## Zagadki:

- Ołówek
- Gumka
- Tablica
- Gąbka
- Mąka
- Ziemniaki
- Woda.

## ROZWIĄZANIA Z nr 40(47).

## Zagadki:

- Herbata
- Termometr
- Lato
- Jesień
- Liście w jesieni.

## ROZWIĄZANIE Z nr 41(48).

## Zagadki:

- Słonecznik
- Piec
- Szpilka
- Igła
- Nożyce
- Łopata.

## Szarada:

- Po-la-na
- Ko-ni-czy-na.

Odpowiedzi  
Redakcji

Uczniowie Klasy IV szkoły Nr 93.

Dziękujemy Wam za udany wier-  
szowany opis wakacyj. Napiszcie  
nam, w jaki sposób układaliście ten  
wierszyk: czy każde dziecko jeden  
dwuwiersz, czy są też wśród Was  
poeci klasowi, którzy napisali więk-  
szość strofok. Czy lubicie układać  
wierszyki? A może macie jakieś  
zbiorowe opowiadanie prozą? Jak  
liczna jest wasza klasa? A może  
znajdzie się wśród was rysownik,  
który by dorobił rysunek do wier-  
sza o wakacjach? Jeżeli tak, to  
prześlijcie. Tylko muszą być robio-  
ne tuszem na kartonie. Jeżeli ry-  
sunki będą nadawały się dla naszej  
gazetki, przyrzekamy Wam, że uj-  
rzycie w druku Waszą zbiorową  
pracę. Prosimy o odpowiedź.

Hanna Stronk i Hanna Weber  
z Wawra.

Wasz opis wizyty w obozie har-  
cerskim żywy i wesoły. Piszecie, że  
jak tylko powrócicie do Wawra, zaj-  
miecie się jedną z zaniedbanych ulic,  
które czekają na pomoc harcerza,  
tak jak zrobili harcerze z Zielonki,  
którzy zaopiekowali się jedną z za-  
niedbanych ulic, oczyścili ją, wysa-  
dzili młodymi drzewkami i dali jej  
nazwę „Ulica harcerska“. Czy nie  
sądycie, że warto by pomyśleć o  
„Ulicy Szkolnej“? lub „Uczniow-  
skiej“?

Zosia Szczepańska z Warszawy.

Masz zmartwienie, bo bardzo lu-  
bisz czytać książki, a są zbyt drogie  
i nie możesz, sobie pozwolić na ich  
kupno. Na ulicy Piusa przy Bibliote-  
ce Publicznej czynna jest bezpłatna  
czytelnia dla dzieci. Otwarta jest  
prawie cały dzień i można tam czy-  
tać książki jakich tylko „dusza za-  
pragnie“. Zgłoś się tam i zapisz, a  
na pewno nie będziesz żałowała.

